Numer zawiera 10 stron
OPŁATA POCZT. UISZCZONA RYCZAŁTEM

Cena n-ru 15 gr.
W CAŁYM KRAJU

X muza

tygodnik ilustrowany

ROK I — WARSZAWA, DNIA 26 GRUDNIA 1937 R. — Nr. 24

FILM • TEATR • MUZYKA • TANIEC • RADIO • MALARSTWO • FOTOGRAFIA • SPORT • TURYSTYKA • MODA • KOSMETYKA • ROZRYWKI

ANATOL STERN

„GWIAZDY" na GWIAZDKĘ

Doprawdy, nie możemy się uskarżać na brak komunałów w naszej publicystyce filmowej!... Ale jeden z tych komunałów ma w sobie wszystkie cechy druzgocącej prawdy. To zarzut, że film polski operuje wciąż jednymi i tymi samymi twarzami, wciąż tymi samymi aktorami.

Dlaczegóż zarzut ten nazywam komunałem?...

Poprostu dlatego, że stwierdza on fakt niezbity, oczywisty, znany i powtarzany przez wszystkich, — nie dając wzamian żadnych nowych, realnych środków zaradczych.

To przecież jasne!...

Napaści na niektóre aktorki, że grają od lat dwudziestu role dwudziestoletnich amantek, nie dają w zasadzie nic. Cecile Sorel, czy Ivonne Printemps, czynią to samo, a są przecież naprawdę, „troszeczkę" starsze!...

Co innego tu jest prawdą niezbitą: konieczność dopływu nowych aktorów. I w tym celu nie trzeba bynajmniej walczyć ze starą gwardią aktorską. Będzie dość miejsca dla jednych i dla drugich. Miast napadania natomiast na pierwszych — należałoby raczej — wskazać tych drugich.

Czy jest ich rzeczywiście tak mało?...

Producenci, a często i reżyserzy odpowiadają zwykle na to pytanie: „Mało?... Niema ich zupełnie!...". I przypominają sobie z goryczą nieudane, a więc i kosztowne próby, poczynione z szeregiem aktorek teatralnych, lansowanych na „gwiazdy" filmowe. Wymieniają przy tym nazwiska.... Mniejsza o to, czy słusznie. Ale dlaczego nie wymieniają tych artystek filmowych, które w ciągu dwu, czy trzech lat zaledwie, zdołały sobie zdobyć gorącą sympatję tłumów?!...

Przypominam sobie rozmowę z reżyserem Henrykiem Szaro na temat obsady „Pana Twardowskiego". Przy obsadzaniu roli Netty — wielki znak zapytania. I wówczas rzucam nazwisko młodziutkiej aktorki teatralnej, ujmującej, subtelnej, która stawiała pierwsze kroki na scenie. Barszczewska okazała się zachwycającą aktorką filmową. Trudną rolę Netty, — tym trudniejszą, że sprzeczną z jej genrem, — ujęła znakomicie. Potym przyszła „Trędowata", która w żelaznym repertuarze polskiego filmu odpowiada mniej więcej „Damie Kameliowej". I cóż się okazuje!... Ta sama aktorka potrafiła uprawdopodobnić, ożywić, uszlachetnić nawet tę najbardziej ośmieszoną w literaturze polskiej postać kobiecą!... Od tej chwili stała się poszukiwaną przez wszystkie wytwórnie polskie — lukratywne, ale niebezpieczne stanowisko, które zmusza do dużej pracy nad sobą.

Producenci krajowi, narzekający na rzekomo zupełny brak materiału ludzkiego, zapomnieli widocznie o takich np. nazwiskach, jak wspomniana Barszczewska lub Wiszniewska, — czarujące zjawisko kobiece, przypominająca żywo najbardziej poetyckie bohaterki Szekspira — Imogenę z „Cymbelina", lub Mirandę z „Burzy". Trzeba było przecież dopiero Wegenera, wielkiego artysty niemieckiego, by ją odkrył!... A czy nie wystarczy tylko rzucić snop promieni, choćby w ciemną czeluść naszych teatrów, — gdzie ujrzymy cały legion niewyzyskanych dotychczas sił, — niedostrzeżonych talentów, — i to talentów reprezentujących wszystkie możliwe „rodzaje". A więc — amantki bohaterskie: bardzo głęboka i sugestywna Malkiewiczówna, — Jaroszewska, żywiołowy, bujny talent sceny krakowskiej, lub niedawno odebrana scenie przez małżeństwo, Tarnowiczówna, obdarzona wspaniałą aparycją i głosem. Amantki liryczne: jedna z najpiękniejszych naszych artystek, Kryńska, lub subtelna Barwińska (ze sceny katowickiej). Amantki charakterystyczne: egzotyczna Hanna Brzezińska, stylowa Balcerkiewiczówna. Wreszcie w operach i operetkach filmowych Nina Grudzińska, artystka o gorącej południowej urodzie. W rolach „salonowych" — Bonacka. I szereg innych.

Do ról amanta bohaterskiego nadawałby się Jur-Pichelski, do ról lekkich amantów — Benda, Liedke. Charakterystycznych amantów mamy wielką ilość, i to najwyższej klasy: rodzaj, pogardzany przez naszych filmowców, a najbardziej bodaj ulubiony przez publiczność, że wymienimy tylko Wiliama Powella, lub Pawła Muniego. Do aktorów tego typu należą przede wszystkim — Strachocki i Woskowski. Nie wymieniam tu szeregu nazwisk starszego pokolenia. Zajęłoby to zbyt wiele miejsca. Ale niema bodaj takiego genre'u ról, dla których odtworzenia nie możnaby znaleźć doskonałych a niewyzyskanych dotychczas aktorów i aktorek. A przecie mówiliśmy tu wyłącznie o aktorach teatralnych, których możliwości są nam dobrze znane!... Pominęliśmy ten ogromny rezerwuar sił aktorskich, którym jest balet (Sławska, A. Halama, Piątkówna), Polski Instytut Sztuki Teatralnej, i wreszcie — co najważniejsze — samo życie!...

Jest rzeczą pewną, że nie brak nam świetnych sił aktorskich. Nie brak materiału na „gwiazdy". Ale trzeba mieć szczyptę odwagi, bez której będziemy skazani na wieczne obracanie się w zaklętym kole tych samych postaci. A przecież tu odwaga daje niespodziewanie znakomite rezultaty!... Dowodem tego jest choćby przytoczona przezemnie wyżej, legendarna nieomal historia odkrycia Barszczewskiej i Wiszniewskiej. Jest to, coprawda, tylko legenda filmowa, ale, bądź co bądź, — legenda!

LEOPOLD BRODZIŃSKI

PRZEDZIWNE MISTERIUM 1914-go ROKU

(Z cyklu „Ćwierćwiecze pierwszej sceny polskiej")

Zmieniły się czasy. Każdy peryferyjny teatrzyk gra co roku w okresie Bożego Narodzenia poczciwe rydlowskie „Jasełki", a dziatwa zawsze jednakowo żywo reaguje na diabły, anioły i kościstą kostuchę.

W krwawe dni grudniowe roku 1914-go skromne „Misterium" autora Trylogii Zygmuntowskiej było w swoim rodzaju objawieniem dla ówczesnych widzów. I choć intermedia śmieszyły niefrasobliwym humorem, a Osterwa rozkosznie eksperymentował jako dziad („Prosi dziadek prosi, torbę z dzwonkiem nosi..."), to jednak struną, dźwięczącą najmocniej były niedopowiedzenia wzmożone przez szereg skrótów i zmian cenzuralnych.

Heroda wystylizowano na Kajzera, Trzech Królów przed żłobkiem — na Kazimierza Wielkiego, Władysława Jagiełłę i Jana III Sobieskiego.

Wejście ułana z pod Wawra i Ostrołęki witano nietylko huraganem braw, ale i podniesieniem się z krzeseł. Gdy Maria Mirska, jako kobieta z zaboru pruskiego, błagała o wolność modlitwy dla polskiego dziecka: „... prusak nam dzieci dręczy męką szkolną, mowy i pieśni polskiej nam zabrania...", na widowni rozlegały się głośne łkania.

Dopisano poza tym specjalnie postać chłopa polskiego, który uchodząc przed pożogą wojenną z zagrody rodzinnej, przynosi Dzieciątku „garść przesiąkniętej łzami polskiej ziemi".

Dookoła płonęły wioski i miasteczka. Krwawe łuny rozpościerały się nad Warszawą. Instynkty ludzkie wyczuwały, że każda godzina zbliża dzień wyzwolenia. W tej atmosferze najwyższej egzaltacji nie grały żadnej roli „koncepcje artystyczne" i ujęcia reżyserskie. Szło tylko o to tchnienie wolności, które niosły proste słowa Rydla.

Napewno „Jasełkę" grano zasadniczo fałszywie. Jak dziś pamiętam banalnie ujętą, brutalnie oświetloną stajenkę z kokieteryjnymi aniołami. Sprawozdawca rosyjskiego pisma „Warszawskaja Myśl" bardzo krytycznie omawiał ten „operetkowy realizm" widowiska, które dla moskiewskiego dziennikarza nie było przyczyną wzruszeń. Patrzył na wszystko pod kątem li tylko estetyki: „Odin angieł kokietniczał" („Jeden z aniołów kokietował") — pisał też w swej recenzji. Chodziło tu o poczciwą i Bogu ducha winną, Karolinę Lorentz, której reżyser nią widać nie powiedział o mistycyźmie Jasełek. Ale to wszystko było nieważne... Jedyny i bezprzykładny nastrój pozostał w pamięci i trwa, żyje we wspomnieniach do dziś.

Na przełomie lat 1914 — 1915 była „Szopka" Rydla jakby naiwnym prologiem do innego widowiska jasełkowego, które wejść miało wkrótce przy dźwięku armat na deski pierwszej sceny polskiej— „Wesela" Wyspiańskiego.

Wkrótce też po Nowym Roku odbyła się ta historyczna premiera. Prezes Hulewicz reżyserię „Wesela" powierzył Osterwie. Był to — jak pokazała przyszłość — czyn większej może wagi, niż podówczas wydawać się to mogło samemu Hulewiczowi. Dnia tego narodził się najnowocześniejszy reżyser polski, a czarujący amant — ulubieniec publiczności stał się najwybitniejszą postacią teatru naszej epoki.

„Wesele" musiało wywrzeć wrażenie olbrzymie. Błędów było dużo, ale i one wypływały z buntowniczego dążenia Osterwy do zerwania z szablonem. Nie wszystko udało się wtedy, ale wszystko działo się pod znakiem walki o nowy teatr. W zmurszałych murach Rozmaitości trochę paradoksalnie wyglądała ta walka. A jednak tam, w starym gnieździe tradycji, w premierowy wieczór „Wesela" zrodziły się hasła, później na innych terenach realizowane.

Sam Osterwa grał Pana Młodego. Z Panną Młodą popełniono błąd: moda i koniunktura spowodowały obsadzenie w tej roli czarującej zresztą i nieporównanej aktorki — Lubicz-Sarnowskiej, która ani wewnętrznie, ani zewnętrznie do roli tej się nie nadawała. Najznakomitsza Młoda — Władysława Ordon-Sosnowska grała dopiero w drugiej, dublerskiej obsadzie (Pana Młodego grał wówczas Witold Skarzyński)... Czepcem był Mieczysław Frenkiel; genialny! Rachelą — Sulima, niezastąpiona do dziś dnia. Gospodarz Knake-Zawadzkiego wyglądał wspaniale w sukmanie, ale Jan Szymański z obsady wtórnej górował nad nim inteligencją w ujęciu roli. Poeta w wykonaniu Śliwickiego nie prędko znajdzie godnego następcę na scenach polskich. Nerwowość Dziennikarza oddał kapitalnie Junosza, a niezapomnianym w pijackiej czkawce Nosem był Marian Tatarkiewicz. Rolę widma miał Hryniewicz (poza Natanem w „Sędziach" była to najlepsza rola tego aktora). Ślicznie oddała nastrojową scenę Marysi — Mirska. Jasiek Szymańskiego w premierowej obsadzie, jak i M. Myszkiewicza w drugiej — wywarł ogromne wrażenie. Z postaci symbolicznych, wizyjnych: Kotarbiński (Wernyhora) i Wilczyński (Upiór) przeszli przez scenę jakby w oparach mistycyzmu.

Nie obyło się i tu bez małych skandalików protekcyjnych. Dwie „gwiazdy" z nieprawdziwego zdarzenia „przygrały sobie" także w omawianym „Weselu". Mniej szkodliwa okazała się poczciwa, a już czytelnikom znana Zenobcia Janczewska, kontentująca się epizodyczna rolą Kaśki, w której zresztą nie dorównała premierowej Zofii Tworkowskiej, ale też i nie zaważyła tak boleśnie na całości, jak np. w Barbarze Radziwiłłównie. Gorzej przysłużyła się Wyspiańskiemu druga „heroina" p. Ruszczycówna (!), wywalczając sobie — na kilka tylko wieczorów... Rachelę (!?).

Naogół jednak sukces „Wesela" był wielki. Najsilniejsze wrażenie wywarła scena, wyreżyserowana przez... cenzurę. Użycie kos zostało zabronione. Chłopi wyszli więc na scenę tylko z kijami.... Ten humorystyczny wyraz głupoty rosyjskich cenzorów przysporzył widowisku chwilę emocji.



ERROL FLYN
w filmie „Książe i Żebrak" wg. Marka Twaina
Fot. Warner-Bros

Najserdeczniejsze życzenia
Wesołych Świąt
i szczęśliwego
Nowego Roku
składa swym Czytelnikom
Redakcja „X Muzy"

MISCHEL S. GREEN

„Oko w oko" z wielkim reżyserem

Hollywood, w grudniu.

Trudno byłoby określić w jakiej części świata reżyser Ernst Lubitsch cieszy się największą popularnością, faktem jednak jest, że film wyreżyserowany pod jego kierunkiem, daje publiczności rękojmę dużego artyzmu, producentowi zaś, gwarancję materialnego powodzenia.

Ernst Lubitsch kręci obecnie w studio „Paramount" film p. t. „Ósma żona Sinobrodego" z Garry Cooperem i Claudette Colbert w rolach głównych.

W atelier cały sztab robotników szybko i fachowo szykuje tło do zdjęć, artyści, wszyscy na swoich miejscach, oczekują sygnału reżysera... W tym rozlega się głos Lubitscha.

— Zaczekajcie — ta scena wypadnie zbyt płytko, dajcie mi chwilę pomyśleć.

I czekają wszyscy. Wydatki związane z tymi przerwami, wyrażające się nieraz w tysiącach dolarów, nie idą jednak na marne. Zastanowienie się Lubitscha zawsze się opłaca. Każdą scenę przed obiektywem powtarza się kilkanaście razy — dopóki nie rozlegnie się głos reżysera „nareszcie, wspaniale". Asystowałem przy takich zdjęciach i muszę przyznać, że różnica pomiędzy poszczególnymi nakręcaniami jest tak nieuchwytna, że ja nie potrafiłem jej dostrzec. Zdumiewający wprost jest system pracy Lubitscha, a jeszcze bardziej zdumiewająca — jego energia.

Skorzystałem z przerwy aby zamienić z wielkim reżyserem kilka słów. Rozmowa nasza odbywa się w urywkach.

— Nie dbam o to jakiej narodowości są bohaterowie mojego filmu, ani w stolicy jakiego państwa znajdują się. Często celowo też zmieniam ich narodowość i teren akcji. Uwypuklenie dramatyczności sytuacji — oto co mam na pierwszym planie, gdy przystępuję do nakręcania jakiegoś filmu. Wyobrażam sobie wówczas nie tylko Amerykan, ale ludzi, rozsianych na całym świecie, którzy oglądają mój film. A przecież tylko prawdziwie i wiernie oddane tło, na którym dany film rozgrywa się, decyduje o jego powodzeniu. Jeśli opowieść jest ciekawa zainteresuje widza niezależnie od tego czy rozgrywa się w Australji, czy Egipcie... W moim np. ostatnim filmie, który nazywa się „Des For Liwing" przerobiłem bohaterów Anglików na — Amerykan, mieszkających w Anglii i to dało mi możność stworzenia całego szeregu sytuacji, dostępnych zarówno dla widza amerykańskiego, jak i europejczyka.

Dzień pracy zbliża się ku końcowi... Wszyscy są już zmęczeni oprócz niewyczerpanego Lubitscha. Na twarzy jego wykwita uśmiech — znak, że nakręcona scena będzie prawdopodobnie ostatnią t. zn. uznaną za doskonałą.

— Wszystko w porządku — zwraca się Lubitsch do inżyniera dźwiękowego.

— Nie — pada odpowiedź. — W pewnej chwili ktoś zakasłał... i zepsuł tę scenę.

— Kto? — reżyser groźnie patrzy na obecnych.



Ernts Lubitsch (z lewa) ogląda „X Muzę" dzieląc się swymi uwagami z naszym stałym korespondentem w Hollywood

— Kiedy odpoczywam? — uśmiecha się mój rozmówca — wtedy, gdy odbywam podróże samolotem. Wolne dnie wykorzystuję przeważnie, aby przelecieć się do Arizony lub Nowego Jorku. Poza tym kilka miesięcy spędzam na podróżach po Europie — wogóle podróże to moja namiętność. Z przyjemnością wspominam zeszłoroczny mój pobyt w Polsce, gdzie miałem sposobność spotkania się z moimi starymi przyjaciółmi.

— Czemu należy przypisać tę nawskroś europejską atmosferę w niektórych pana filmach?

— Pan, panie reżyserze.

Lubitsch roześmiał się.

— W takim razie powtórzymy ją.

Żegnając się, Lubitsch umawia się ze mną. Ma ochotę swobodnie porozmawiać na temat teatru i filmu, na które to sprawy ma poglądy tak niezwykle ciekawe i oryginalne.

Mischel S. Green

Korespondent „X Muzy" w Hollywood

Film „Dziewczyna szuka miłości" całkowicie ukończony

Od szeregu tygodni prowadzone są końcowe prace montażowe filmu „Dziewczyna szuka miłości". Premiera odbędzie się równocześnie w kilkunastu miastach Polski. W Warszawie film ten wyświetlać będzie kino „Bałtyk". Zwróciliśmy się do aktorów, grających w filmie, po opinię, czy wszyscy byli zadowoleni z ról im powierzonych.

Zaczęliśmy od Tamary Wiszniewskiej.

— Jak pani podoba się rola w filmie „Dziewczyna szuka miłości"?

— Mogłabym odpowiedzieć dwoma słowami — jestem zachwycona. Już dawno marzyłam o otrzymaniu roli młodej, dzielnej kobiety, wysportowanej, a równocześnie uczuciowej. Rolę taką otrzymałam w filmie prod. Panta-film.

— A Panu, panie Cybulski, jak poszła praca?

— Gram rolę konstruktora lotniczego. Poznaję dziewczynę, o jakiej marzyłem i człowieka, który mi dopomaga w osiągnięciu celu. Rolę tę gra w filmie znakomity aktor Jan Kurnakowicz.

— Nareszcie otrzymałem dobrą rolę — mówi Kurnakowicz. Gram postać bogatego reemigranta z Brazylii, tęskniącego do ojczyzny. Pragnę połączyć Polskę z moją drugą przybraną ojczyzną — Brazylią, nierozerwalnym węzłem. Spotykam młodzieńca o żelaznej woli, realizującego swe plany, któremu brak jednak środków. Pomagam mu i wspólnie tworzymy wielkie dzieło.

— Mieczysławowi Mileckiemu przykro, że kazano mu odtworzyć w filmie postać „ujemną". Słaby, bezwolny typ instruktora lotniczego, zazdrosnego o sukcesy, i ponoszącego zasłużoną karę. Ale cóż zrobić! Taka jest dola aktora filmowego. Musi odtworzyć taką rolę, jaką mu ofiaruje scenariusz. A odtwarza ją bardzo dobrze.

Józef Orwid, Maria Chmurkowska i Kazimierz Szubert, reprezentują w filmie komizm.

Najbardziej zadowolony jest z filmu reżyser Gantkowski.

— Nie wyobraża sobie pan, jak zapaliłem się do filmu. Dostałem do ręki wymarzony temat. Mam nadzieję, że przy wielkim entuzjaźmie całej „braci filmowej" udało mi się stworzyć dobry film.

Już wkrótce film „Dziewczyna szuka miłości" wejdzie na ekrany. Nie wątpimy, że będzie to wielki film, który dobrze przysłuży się produkcji krajowej.

*

„Panta-Film" w szybkim tempie prowadzi prace przygotowawcze do niezwykle sensacyjnego filmu, osnutego na niezwykłych własnościach słynnego na cały świat jasnowidza inż. **Stefana Ossowieckiego.**

W filmie tym inż. Ossowiecki wystąpi osobiście.

TAŃCZĄCE GWIAZDY

JADWIGA HRYNIEWICKA

Jedną z choreograficznych gwiazd polskich, na skalę międzynarodową jest Jadwiga Hryniewicka.

Upamiętniła się w Warszawie rolą indianki Dixiany w „Rose Marie". W Paryżu w „Casino de Paris" duże wrażenie wywierał na publiczności jej słynny taniec p. t. „Marsylianka". Wyrazista, klasyczna twarz Hryniewickiej, kształtna budowa ciała, mała rasowa głowa, piękne, długie nogi — oto cechy, które predestynują tancerkę na pierwsze miejsce z pośród naszych plastyczek i mimiczek.

W epoce krótkich i pół-krótkich włosów p. Hryniewicka nosi misternie upięte na głowie obfite, długie warkocze o złoto-platynowym odcieniu, które gdy są rozpuszczane okrywają całe ciało tancerki, jak złocisty płaszcz.

P. Hryniewicka bywa często zapraszana do Paryża, gdzie ostatnio jej popis w tańcu ludowym z sierpem wywołał gorący entuzjazm. Zarówno publiczność jak i prasa francuska darzyła polską tancerkę gorącymi pochwałami.

S. S.



REWELACYJNA PRODUKCJA
WARSZ. TOW. FILMOWEGO
„FENIKS"

Warszawa, Chmielna 43. Tel. 510-29 i 543-69

NA **1938** ROK

UWAGA!
Filmy wytwórni „FENIKS" — produkcji 1937 r.

ZNACHOR
i
DYBUK

— osiągnęły najwyższy sukces artystyczny i kasowy, jaki w ostatnich latach w produkcji krajowej notowano

1. DRUGA MŁODOŚĆ

wg. scenariusza RYSZARDA ŻARKOWSKIEGO, specjalnie napisanego dla największego tytana sceny i ekranu

K. JUNOSZY-STĘPOWSKIEGO



2 filmy wg. powieści **Dołęgi-Mostowicza**

najpopularniejszego w Polsce autora

2. OSTATNIA BRYGADA

Scenariusz ANATOL STERN

Całkowitą obsadę wszystkich trzech filmów podamy w następnym numerze.

3. trzy SERCA

Scen. ANATOL STERN

Reżyseruje twórca „Znachora" i „Dybuka": MICHAŁ WASZYŃSKI

EKSPLOATACJA
NA MAŁOPOLSKĘ
i GÓRNY ŚLĄSK
„POLONIA-FILM"
KRAKÓW

Z SAL KONCERTOWYCH

VIII piątkowy koncert filharmoniczny, choć pozbawiony „przynęty" w postaci solisty, był godny uwagi, ze względu na połączenie orkiestr: filharmonicznej i Polskiego Radia. Ta zainicjowana współpraca winna wejść w zwyczaj. Nie ... chyba podkreślać jej korzyści — członkowie orkiestry nabraliby większej rutyny i muzykalności, przytym byłaby większa swoboda w dobieraniu programów koncertowych, gdyż znikłaby przeszkoda wystawiania utworów, których partyturom ilościowo nie może sprostać szczupła orkiestra Filharmonii.

Z literatury dzieł właśnie tych potężnych i monumentalnych, wymagających zwiększonej orkiestry, wybrano na ten koncert, nie wiem czy zbyt fortunnie, IV Symfonię Mahlera. Utwór ten, imponujący w rozmiarach, nie zadziwia jednak zawartością.

Przeładowanie myśli nieuporządkowanych, a czasem zupełnie pogmatwanych, raptowne kontrasty ich charakteru: raz pompatyczny dramatyzm, raz sielankowy liryzm, to znów (często!) wręcz trywializm i wulgaryzm, wprawdzie użyty dla celów charakterystycznych, (ale i w tym wypadku należy zachować umiar i mieć wiele intuicji muzycznej, aby utwór nie zatracił swej powagi, aby środki nie stały się celem) — wszystko to sprawiło, że symfonia nie dała tej sumy wrażeń estetycznych i przeżyć duchowych, o jakie chodziło Mahlerowi; zmęczyła też i znużyła słuchaczy.

W II części koncertu usłyszeliśmy doskonałą „Uwerturę" — Szałowskiego, tego wdzięcznego, pełnego porywu wybuchu młodzieńczej radości i werwy, które to uczucia kompozytor oddał nie tylko w samej inwencji, ale również dzięki efektom rytmicznym i przede wszystkim — instrumentacyjnym.

Na zakończenie odegrano ciekawą suitę „Hary Janos" — Kodaly'ego, będącą przeróbką utworu scenicznego. Fantastyczne opowiadania zarozumiałego „wszędobylca" Janusza Hary znalazły, dzięki talentowi węgierskiego kompozytora, doskonała ilustrację muzyczną.

Dyrygował bardzo kulturalnie Grzegorz Fitelberg, wykazując szczerą współpracę i bliski kontakt z orkiestrą, która, mimo oszczędności i zdawałoby się jednostajności ruchów kapelmistrza, doskonale rozumie jego zamierzenia i myśli.

✱

W sali Konserwatorium Muzycznego, dała swój recital pianistka węgierska p. Agi Jambor — laureatka ostatniego konkursu chopinowskiego. Program koncertu był bogaty, tak pod względem rozmiarów, jak i różnorodności charakteru utworów, choć to urozmaicenie przyczyniło wiele minusów w ogólnej punktacji gry p. Jambor. Pianistka ta ma tak wybujały indywidualizm, że nie może go poskromić; nie widać zresztą zbytniej troski o to. Wskutek też czego Bach i Beethoven nie mieli swego oblicza, pełnego powagi, dostojeństwa i zrównoważenia, a byli pokazani, jako niewolnicy odtwórczyni, która zbagatelizowała sobie postulat klasycyzmu — obiektywizm i chciała koniecznie i tu pokazać swoje „ja".

II część koncertu, zawierająca utwory Chopina, Kodaly'ego i Weinera wypadła bardzo efektownie.

Doskonała technika palcowa, rozległa skala barw, wnikliwa dusza marzycielki i jej żywiołowy temperament miały tu doskonałe pole do popisu. Nawet karygodne nieścisłości rytmiczne, nie do darowania u Bacha i Beethovena, — wypadły wdzięcznie i oryginalnie.

Sopntaniczne oklaski publiczności, zmusiły przemiłą Węgierkę do kilkakrotnych bisów.

✱

Stosunkowo sporo publiczności ściągnął do sali Konserwatorium Muzycznego recital pianisty amerykańskiego Ezry Rachlina, prawdopodobnie dzięki atrakcyjnej reklamie, głoszącej, że jest uczniem mistrza Hoffmana... A może sprawiła to ciekawość usłyszenia jak to zaoceaniczny gość, wyrosły na gruncie pełnej ekstrawagancji i wybryków Ameryki, rozumie prawdziwą, poważną sztukę. Ale i on — tak jak i wiele jego rodaków, którzy popisywali się w Polsce — utwierdził jeszcze bardziej nasze przekonanie, że Amerykanie w interpretacji swej traktują utwór muzyczny zewnętrznie, stawiając na pierwszym planie precyzję i opracowanie techniczne. Wydaje się, jakoby myśleli, że muzyka służy do popisu akrobatycznej gimnastyki palców. I naprawdę techniką mógł z dumą popisać się Rachlin, zwłaszcza zaimponował znakomitym odegraniem niebywale trudnych „Wariacji na temat Paganini'ego" — Brahmsa. Ale gdy przyszło do Bacha i Chopina — wyszły na jaw braki w grze muzyka. Jakaś pustka ziała z jego duszy, brak wyczucia stylu, brak pietyzmu dla intencji kompozytora, pewna nerwowość i brak skupienia — słowem nie dorósł młody Amerykanin do „starej Europy". Z obliczem „młodszej Europy" dał sobie radę, grając z werwą i zacięciem drobne utwory Rachmaninowa, Prokopieffa, de Falla i innych.

Kwinta.

KAROL FORD

Przedstawienie którego nie widziałem

Paryż, w grudniu.

Świetny literat i publicysta francuski René Jeanne przysłał mi któregoś dnia zaproszenie na próbę generalną sztuki „La Brume" Donaty Vannutelli, wystawianą przez teatr awangardowy „Les Cerceaux". Próba generalna (répétition générale) posiada w Paryżu zgoła inne znaczenie, niż u nas. We Francji jest to poprostu „premiera prasowa". Dlatego też czasem można zaobserwować dość komiczne (dla nas) paradoksy; premiera jakiejś sztuki odbywa się naprzykład w sobotę, a próba generalna dopiero w następny wtorek. Przysyłając mi wyżej wspomniane zaproszenie René Jeanne dodał kilka słów od siebie. Pisał: „Drogi Przyjacielu, przesyłam zaproszenie na spektakl awangardowy. Jeśli ma Pan wolny wieczór, niech Pan tam pójdzie. Zobaczy Pan sztukę autorki, która może kiedyś będzie słynna, oraz wysiłki młodych — zarówno autorów, jak i aktorów — aby dojść do czegoś".

Posłuchałem go i oznaczonego dnia udałem się na rue de Seine, gdzie pod numerem 31 mieści się sala Raymonda Duncana, brata słynnej Izadory, wynajmowana na różne dorywcze imprezy. Przedstawienia „La Brume" niestety jednak nie widziałem, a to z następujących powodów:

Przybyłem na rue de Seine 10 minut przed dziewiątą (termin naznaczony). Wydawało mi się, że pora nie będzie spóźniona. Tymczasem jednak... Na podwórzu, prowadzącym do sali Raymonda Duncana, ozdobionym jego rzeźbami, stał tłum ludzi. Był to tłum tych, którzy... już nie mogli dostać się do przepełnionej sali. Jakaś pani (prawdopodobnie autorka sztuki) stała bezradnie przy wejściu, starając się mitygować gniew zawiedzionych. Na salę wpuszczano jedynie osoby, zaopatrzone w legitymacje prasowe.

Niestety jednak przekroczenie tego Rubikonu, jakim stało się wejście do sali, nie na wiele mogło się zdać. Sala, przewidziana na 250 osób, wypełniona była do ostatniego miejsca. Ponadto około 100 osób stało, tarasując wszystkie przejścia. Nastrój sali przypominał mi wysiłki Bazylego Sikiewicza w warszawskim Rosyjskim Studio Dramatycznym. Siłą rzeczy trzeba było zrezygnować z obejrzenia przedstawienia, zrodzonego w tej atmosferze entuzjazmu, i... usunąć się z planu.

Krótki pobyt w teatrze „Les Cerceaux" i niewidziane przedstawienie nasunęło mi szereg rozważań porównawczych. Przede wszystkim zasadnicza różnica pomiędzy publicznością paryską a warszawską. W Warszawie, jeśli jakiś pokaz czy przedstawienie naznaczone jest na określoną godzinę, publiczność zaczyna zbierać się mniej więcej 10 minut przed terminem. W Paryżu jest zupełnie inaczej. Kwadrans przed terminem sala jest już dokładnie „nabita". Widzowie, przybywający po tym czasie, zmuszeni są udawać się na balkon. Niektórzy przybywają nawet godzinę przed rozpoczęciem, aby zapewnić sobie dobre miejsca. W wypadku, jeśli miejsca są numerowane, taki pośpiech oczywiście nie jest potrzebny, ale i tak widzowie przybywają dość wcześnie, aby spektakl mógł się rozpocząć punktualnie.

Przygoda w teatrze „Les Cerceaux" jest również wskaźnikiem zainteresowania, jakim cieszą się wszystkie tego rodzaju imprezy awangardowe. W Paryżu istnieją dość liczne sceny tego rodzaju i częstokroć można na nich zobaczyć sztuki ciekawsze, aniżeli na scenach t. zw. „oficjalnych", subwencjonowanych czy też nie. Pod tym względem, jak i pod wieloma innymi, Paryż jest szczęśliwszy od Warszawy.

Korespondent „X Muzy" w Paryżu

„Kościuszko pod Racławicami"



Fot. „Libkow-Film"

O Panie! Stoję przed Twoim ołtarzem
Pełen ufności i wiary.
Daj nam zwycięstwo nad orężem wrażym!
Nie odrzuć naszej ofiary.

Daj, abym Polski poróżnione syny
Pod jednym skupił sztandarem!
By odkupili ojców swych przewiny,
Gdy się płaszczyli przed Carem.

Spraw, aby w Polsce brat bratu był równy!
Niech nie urąga wróg podły,
Że wieczne swary i nierząd pogłówny
Polskę do zguby przywiodły.



Gene Raymond, którego małżeństwo z Janette Mc Donald—w dalszym ciągu absorbuje prasę w Hollywood przesyła pozdrowienie Czytelnikom „X Muzy"

NOWINKI FOXA

PANI JOHNSON PODRÓŻUJE

Ossa Johnson, żona słynnego podróżnika Martina, ukończyła nakręcanie swego ostatniego filmu dla wytwórni „20th Century-Fox" p. t. „Borneo". Jak wiadomo, Martin Johnson zginął w czasie katastrofy lotniczej podczas nakręcania wspomnianego filmu.

ANNABELA JAKO GEORGE SAND

Świetna aktorka francuska, Annabella, zakontraktowana obecnie przez wytwórnię „20th Century-Fox", dostanie rolę, która była marzeniem największych artystek. Będzie to rola tytułowa w filmie biograficznym o największej pisarce Francji, kochance Szopena i Musseta — George Sand.

VICTOR MC LAGLEN W LONDYNIE

Victor Mc Laglen przebywa obecnie w studiach Foxa w Londynie, gdzie są ukończone zdjęcia do komedii „He was her man". Reżyseruje ten film Monte Banks.

NOWY FILM CHARLIE CHANA

Warner Oland, kreujący z tak dużym powodzeniem rolę chińskiego detektywa Charlie Chana, rozpoczął zdjęcia do nowego filmu z tego cyklu p. t. „Charlie Chan of Broadway".

MYRNA LOY WE FOXIE

Studia anonsują współpracę Myrny Loy w jednym z najbliższych filmów z udziałem Eddie Cantora. Bohaterka „Króla kobiet" ukaże się tym razem w melodramacie.



W teatrze „8.15" odbywają się próby pięknej operetki Kalmana „Księżna Fedora". Na zdjęciu grono wykonawców gawędzi na temat ról i sztuki: Igo Sym, Bożena Alesso, Helena Makowska (odtwórczyni tyt. roli), Józef Redo, suflerka, Jerzy Liedtke i Zbigniew Rakowiecki. Prócz obecnych gra w „Księżnej Fedorze" Władysław Walter i Zofia Ordyńska. Reżyseruje W. Zdzitowiecki, dyryguje L. Philipp.

DROGA W NIEZNANE
(EBB — TIDE)

New-Jork
Korespondencja własna

Jak doniosła prasa amerykańska film „Droga w nieznane", zrealizowany przez wytw. „Paramount" całkowicie w kolorach naturalnych t. zw. najnowszym systemem „Technicolor", jest ostatnio
rewelacją ekranów amerykańskich.

Film ten został osnuty na tle powieści słynnego pisarza Roberta L. Stevensona. Akcja rozgrywa się na malowniczych wyspach mórz południowych. Całe piękno



wysp uwidocznione zostało dopiero przy zdjęciach kolorowych i w ten sposób poraz
pierwszy w dziejach kinematografii
ujrzymy cały czar podzwrotnikowej przyrody w barwach naturalnych. Oryginalne zdjęcia tajfunu, który nawiedził wyspy podczas pobytu ekspedycji zostały również sfilmowane i będą to jedyne zdjęcia jakie dotąd na filmie pokazano. Aby zwięźle zcharakteryzować film, przytoczymy wycinek z recenzji pisma amerykańskiego „Motion Picture Herald" które jest najpopularniejszym pismem wśród właścicieli kinoteatrów w Ameryce:

„Ebb-tide" (Droga w nieznane) to film, o którym wszyscy będą mówić. Specjalnie należałoby go polecić wszystkim właścicielom kinoteatrów którzy żądają „czegoś nowego — czegoś odrębnego. Niesłychanie wiernie wypadły kolory, które do złudzenia imitują barwy naturalne i oddają cały czar wysp południa. Wielki film o świetnej reżyserii Jamesa Hogana i wspaniałych kreacjach aktorskich Ray Millanda, Frances Farmer i Oscara Homolki — wielkiego aktora europejskiego, który poraz pierwszy występuje przed objektywem amerykańskim. Wspaniałe kolory jeszcze raz podnoszą czar filmu, w którym jest wszystko co może zachwycić widza: Wielka sensacja, miłość i niezwykle atrakcyjny temat osnuty na tle słynnej powieści wielkiego pisarza Roberta Louisa Stevensona. Publiczność zachwycona filmem i podniecona do ostatnich granic akcją, wybucha zachwytem dopiero po zakończeniu filmu. Reakcja ta świadczy dobitnie o wartości filmu".



Recenzja ta, jedna z wielu, nabiera specjalnej wartości jeśli dodamy że ukazała się w piśmie, które jest oficjalnym organem Właścicieli Kinoteatrów w Ameryce.

Film demonstrowany jest obecnie w New-Yorku i bije wszelkie sukcesy kasowe."



SŁAWNI ARTYŚCI POLECĄ PRZEZ ATLANTYK!

Gary Cooper i Joel Mr. Crea kręcą film p. t. „Lot Transatlantycki". Nie byłoby nic w tym dziwnego, gdyby nie fakt, że premiera jego odbędzie się w dniu, kiedy zainaugurowana zostanie regularna komunikacja pasażerska przez Atlantyk. Ale i to by nie było jeszcze dziwne — i nie miałoby nic wspólnego z tytułem nowiny — otóż — wytwórnia zakupiła dla obu artystów miejsca w samolocie, jaki odbędzie pierwszy lot transoceaniczny!

I w dniu premiery swego filmu, kiedy się skończą ich role, zaczną je przeżywać ale już nie przed objektywem — a nad oceanem!

SUKCES POLSKIEGO KOMPOZYTORA W AMERYCE.

Kompozytor Aleksander Półtawski, laureat Warszawskiego Konserwatorium, uczeń Barcewicza i Noskowskiego, długoletni artysta Filharmonii i Opery Warszawskiej, odniósł ostatnio poważny sukces w Ameryce. Utwory jego: Mazurka Melancolice, Tęsknota za Ojczyzną, Serenada Moderne, fragmenty z opery „Dzwon Zatopiony", Fantazja Polska, Improptu i Marzenie oraz Koncert A-moll zostały wysłane do Stanów Zjednoczonych, gdzie wykonano je z dużym powodzeniem.



Simone Simon gwiazda wytwórni „20 Century Fox" zagra w filmie „Love and hisses" (Miłość i zgrzyty)

Fot. „20 Century Fox"

Shirley Temple i Victor Mc Laglen razem w jednym filmie

Film nazywa się „Wee Willie Winkie" (Strzelec z Bengali) i jest osnuty na tle słynnej powieści Rudyarda Kiplinga. Tłem akcji są Indie oraz przeżycia pułku lansjerów bengalskich.

Victor Mc Laglen gra rolę sierżanta, potężnego Szkota o gołębim sercu, nazywanego „Matką kampanii". Shirley jest wnuczką pułkownika, zatwardziałego żołnierza, który nie znosi obecności kobiet w pułku. Mała Shirley, chcąc przypodobać się dziadkowi, postanawia zostać „żołnierzem" i pod kierunkiem srogiego sierżanta rozpoczyna musztrę wojskową.

Film obfituje w masę scen batalistycznych; momenty szarży szczepów hinduskich na fort angielski, są prawdziwym cackiem reżyserskim (John Ford). Jest w tym obrazie scena, która zmusi do płaczu nawet ludzi o najbardziej odpornych sercach. Scena bohaterskiej śmierci sierżanta, któremu Shirley śpiewa po raz ostatni kołysankę.

Wytwórnia „20th Century-Fox" dała tym razem coś więcej, niż zwykły film... dała arcydzieło zakrojone na potężną skalę, które kosztowało wiele wysiłków i pieniędzy.

Społeczeństwo domaga się upaństwowienia Opery

W Warszawie odbyło się publiczne zebranie poświęcone sprawie opery w Polsce wogóle, a Opery warszawskiej w szczególności. W zebraniu wzięło udział bardzo dużo osób ze świata naukowego i artystycznego, a m. in. min. Ponikowski, prof. T. Zieliński, prof. Morawski, prof. Maliszewski i t. d.

Po szczegółowej dyskusji uchwalono rezolucję, w której zebrani przedstawiciele nauki, sztuki i sfer kulturalnych domagają się upaństwowienia Opery, co jedynie może, ich zdaniem, zapewnić tej placówce warunki rozwoju. Obecny stan Opery warszawskiej sprzeczny jest z interesami kultury muzycznej w Polsce.

15 LAT PRACY TEATRU KATOWICKIEGO

Teatr katowicki obchodzi 15-lecie swego istnienia. Tych piętnaście lat — to cała historia... Historia walki o gmach (pierwsze pięciolecie), walki o formę.

Dziś teatr katowicki, właściwie teatr śląski, jest placówką społeczną o ogromnym znaczeniu. Jest to teatr (jeden z nielicznych w Polsce), który ma swoją publiczność i szeroki zasięg oddziaływania, konsekwentnie i stale zresztą powiększany. Z dawnego teatru mieszczańskiego, stał się teatr katowicki w pełnym tego słowa znaczeniu — powszechnym. Jest teatrem, który „dociera" wszędzie. Olbrzymi autobus, wożący aktorów — znany jest we wszystkich miejscowościach Śląska i w części Zagłębia Dąbrowskiego.

Teatr ma powodzenie. Przedstawienia „idą", przez co można zmniejszać ilość premier w sezonie i lepiej przygotowywać wystawiane sztuki. Gdy w sezonie 1932/33 wystawiono 30 premier, to w sezonie ubiegłym już tylko 16, za to jednak na 359 przedstawień przy 149.097 widzach w sezonie 1931/32, w sezonie 1936/37 było 426 przedstawień i już 248.086 widzów. 200 przedstawień zakupionych w ubiegłym sezonie przez Związki robotnicze, świadczy o zainteresowaniu teatrem wśród najszerszych mas i ma swoją wymowę.

Katowickim teatrem kieruje w ostatnim 10-leciu Marian Sobański. Linia repertuarowa celowa i na poziomie. Repertuar piętnastolecia ogromny... Wszystkie ciekawsze sztuki repertuaru polskiego były wystawiane, pozatym teatr dał 12 prapremier (m. inn. „Wesele na Górnym Śląsku" Ligonia i Kubiczka, które osiągnęło rekordową cyfrę 115 przedstawień).

Sezon bieżący rozpoczął teatr pod znakiem polskiego autora. 7 premier („Grube Ryby" Bałuckiego, „Rozwód" Marynowskiego, „Gdzie diabeł nie może" Niewiarowicza, „Zygmunt August" Wyspiańskiego, „Gra serc" Kiedrzyńskiego, „Sztuba" Leczyckiego i „Dzika pszczoła" Morstina — wszystkie polskich autorów i wszystkie udane.

O teatrze katowickim słyszy się coraz częściej. Nie tylko prasa miejscowa, ale i pisma całej Polski poświęcają mu dużo miejsca i zwracają uwagę na wysoki, tak rzadko na prowincji spotykany, poziom artystyczny.

Dyr. Sobański i cały zespół, mogą być dumni ze swej pracy, która nie idzie na marne.

Igor Demian.

„Pierwsza miłość Thei Bianchi"

Romans filmowy Leopolda Brodzińskiego (18)

(ciąg dalszy)

Siedząc w maleńkim ogródku przy willi, patrzała bezmyślnie na skaczącą po drzewie eukaliptusowym maleńką popielatą wiewiórkę. Zwinne i pozornie bezcelowe ruchy zwierzątka dały wypoczynek myślom, zmęczonym niepokojem. Kalifornijski klimat niejednego już europejczyka zadręczył i wypaczył nerwowo i psychicznie. Teraz Thea przeżywała chwile typowej dla przybyszów „starego kraju" nostalgii. Gdy zwierzyła się z tego mężowi, uśmiechnął się lekceważąco o powiedział tonem bagatelizującym:

— To przejdzie!

Rozmyślanie nad zwinnością wiewiórki przerwał właśnie Geornescu. Wyszedł z basenu i stał nago w promieniach słońca radosny, pewny siebie i młodzieńczy. Czerwony trykot kąpielowy na biodrach podkreślał jego smukłość. Opalił się bardzo i wypiękniał „mąż wielkiej gwiazdy". Tors jego zmężniał, ramiona jakby poszerzały. Thea, obojętna na sprawy i konflikty erotyczne, zauważyła tę zmianę nie bez zadowolenia. Jej snobizm, tutaj znajdujący ujście, czuł się nasycony tym spostrzeżeniem.

— Dobrze wyglądasz — powiedziała.

— Nie może być — zaśmiał się z widocznym zadowoleniem — i ty to zaobserwowałaś?

— Czemu nie mogłam zaobserwować? Zawsze lubię rzeczy ładne i ludzi ładnych.

— Ale chciałem ci coś powiedzieć. Jutro zrywasz kontrakt.

— Co?

— Tak. Zrywasz kontrakt i przechodzisz do „Vitographe'u". Tamta dyrekcja płaci penale.

———

Rozmowa była krótka, ale wyniki ważne i bardzo o życiu osobistym Thei decydujące. Przechodząc do innej wytwórni, Thea rezygnowała z współpracy z Tomem. Jeżeli chodzi o karierę śpiewaczki ekranowej, zmiana ta wychodziła na plus: kończy się wojna z słowikami. „Vitographe" będzie lansować Theę jako konkurencję dla „stabilizowanych" słowików. Ale... Ale Tom... Tom zagra z Myrną Loy. Trudno... Może to lepiej, a może gorzej... Przyszłość pokaże.

———

Thea patrzała na męża i dziwiła się sobie samej. Ładny chłopak. Zazdroszczą jej takiego męża. A ona zawraca sobie głowę standartowym „bokserem"... Szalona!

ROZDZIAŁ 29.

ATAK.

Szczupła blondynka o zielonych trochę skośnych oczach, wysokim czole, nadmiernie wystającym podbródku, maleńkich uszach i piegowatej cerze, otoczona tłumem dziennikarzy, założyła nogę na nogę, prezentując je z przekonaniem, że te nogi są wielką wartością, istotnie zgrabne łydki i sterczące kolana à la Marlena Dietrich. Przystrojona, obwieszona przesadną ilością bransolet, lśniąca obrzymimi, brylantami na palcach o wyzłoconych paznokciach, robiła wrażenie zabawki na choinkę. Mówiła głosem t. zw. postawionym, śpiewaczym, trzepiąc przyklejonymi rzęsami i śmiejąc się trochę histerycznie, a w uśmiechu tym prezentowała świetnie, trochę za długie zęby.

— Proszę mi wierzyć panowie — mówiła tak głośno, aby ją słychać było w każdym zakątku salonu, — że choć skończyłam już 24 lata, a od dziecka obracałam się w sferach arystokratycznych, nie pamiętam tej biedaczki młodą. Nie marzyłam jeszcze o nauce śpiewu, kiedy to była zdecydowanie stara kobieta.

Dziennikarze skwapliwie potwierdzali, choć każdy z nich wiedział, że wykrygowana i wybłyszczona gwiazda skończyła 32-gi rok, a owa domniemana staruszka jest od niej o 2 lata starsza. Ale wszystkie cztery zżerające się nawzajem członkinie czteroosobowego „klubu słowików" miały identyczne metody, jedna o drugiej mówiła to samo i według wzajemnej opinii wszystkie były stare, złe, głupie i najgorszego prowadzenia. Mimoto, rzucały się sobie w objęcia przy każdej okazji. Okazja taka nadarzyła się właśnie w tej chwili.

W progu salonu ukazała się drobna blondynka, w dziewczęcej gazowej krynolince. Z daleka wyglądała na 19 lat, tylko bardzo wprawne oko mogło zauważyć zbliżającą się czterdziestkę pod grubymi pokładami szminki, używanej zresztą bezceremonialnie.

Strojne cudo zerwało się z krzesła i z entuzjazmem pobiegło do wchodzącej z wyciągniętą ręką i uśmiechem szczęścia na trochę piegowatej, ale bądź co bądź przystojnej twarzyczce.

Hollywoodzki zwyczaj, że młodsza gwiazda zbliża się z wyciągniętą ręką do starszej przed powitaniem, znany był dobrze wszystkim obecnym. Tłum gości, zebranych w wspaniałych salonach wiecznie młodej Marion, niekoronowanej królowej U. S. A., miał nielada sensację. Słodka Jeanetka postanowiła publicznie zaznaczyć różnicę wieku między nią, a Grace i — zdecydowała się na krok ryzykowny. Nowoprzybyła zatrzymała się, czerwone plamy pojawiły się na wychudzonej szyi i policzkach. Chwila wahania i przed zażenowaną i skonfundowaną gwiazdą ukazały się plecy rywalki.

— Chamka!

— Prostaczka!

— Stara prowincjonałka — krzyknęła Jeanetka tupiąc nóżką.

Tu rozległ się srebrzysty śmiech Grace.

— Jeżeli Nowy Jork jest prowincją, to jestem prowincjonałką, ale jeżeli jakaś dziura w północnej Kanadzie jest stolicą, to ty jesteś z wielkiego świata przereklamowana parweniuszko.

Śmiertelna cisza panowała na sali, gdy u boku zupełnie już bezsilnej Jeanetty pojawił się mąż. Śliczny blondynek, który „wdepnął" w małżeństwo z starszą od siebie o parę lat gwiazdą, nie po raz pierwszy znalazł się w przykrej sytuacji. Arogancka, złośliwa i rozhisteryzowana małżonka przy każdej okazji wywoływała zajścia szeroko komentowane w hollywoodzkim świecie.

— Drogi, kochany Gene, jakże ci współczuję — nieoczekiwanie ku ogólnej sensacji zachwyciła się obecnością „platynowego blondyna" Grace — taki miły chłopak! A zresztą i Jeanettka to rozkoszne dziecko, tylko nieobliczalne. Gdy wstąpiłam do konserwatorium, już tam uchodziła wśród koleżanek za kapryśnicę.

Grace nie kłamała. Spotkały się istotnie przed 15-tu laty w konserwatorium, gdzie 17-to letnia Jeanetta już od roku studiowała śpiew, gdy 20-ty rok licząca Grace, wykształcona już śpiewaczka, zjawiła się tam dla opracowania partii na debiut w operze filadelfijskiej. Pozornie wszystko było w porządku: mogły uchodzić niemal za rówieśnice. Ale właśnie Jeanetta za wszelką cenę podkreślała różnicę dwuch i pół lat, a gdy już bardzo się na ten temat rozgadała, nazywała Grace „babcią, poczciwą staruszką, sklerotyczką i t. d.".

Podczas największego napięcia sytuacji, lokaj zameldował przybycie Thei Bianchi. Na dźwięk wrogiego nazwiska obie poważnione rywalki rzuciły się ku sobie tak gwałtownie, że wszyscy myśleli, iż zaczynają się rękoczyny, a tymczasem dwa słowiki padły sobie w objęcia, całując się i ściskając serdecznie.

Zjawił się wróg. Wspólny wróg. Partie, jednoczcie się ku obronie zagrożonej placówki. Obie blondyneczki, szybko zbliżyły się do wchodzącej Thei, z najczulszymi uśmiechami na malowanych wargach.

Wchodząca miała na sobie czarną toaletą z chiffon-velours. Maleńki sznurek pereł był jedyną biżuterią.

— Ach, nareszcie! Nareszcie jest okazja, bym mogła poznać drogą panią — zaszczebiotała Jeanette — ślicznie pani w tej czarnej sukni! Już to europejki umieją ubrać się stosownie do wieku!

— I gdyby jeszcze różowe perły — dokończyła Grace — cudnie odbijałyby na tej czerni.

Thea, nie przyzwyczajona do tego rodzaju ataków, straciła grunt pod nogami. Żałowała w tej chwili, że Geornescu znowu musiał na parę dni wyjechać w jakiejś sprawie do Nowego Jorku. Sądziła, że obecność męża powstrzymałaby natarcie słowików. Na szczęście jednak pani domu, najstarsza z nich wszystkich, wiekiem, lecz wciąż jeszcze wyglądająca młodziej od niejednej prawdziwie młodej, zorientowała się w sytuacji. Nienawidziła śmiertelnie „słowików", których istotna popularność usuwała ją w cień, mimo potężnych środków reklamy i nienaruszonej pozycji w Ameryce.

Postanowiła wziąć Theę pod swe opiekuńcze skrzydła.

Podeszła do przybyłej, objęła ją wpół i z idealnie odpowiednim wyrazem wciąż jeszcze dziewczęcych niebieskich oczu, powiedziała:

— Pani jest obywatelką francuską, droga Theo, ja z pochodzenia jestem francuską. Tylko Europa daje tę kulturę i ten smak. Będziemy przyjaciółkami, prawda?

Było to „pasowanie na rycerza". Przyjaźń z Marion Davies była gwarancją wielkiego „hallo" prasowego. Obecni dziennikarze wiedzieli dobrze co to znaczy. Trzask miniaturowych aparacików fotograficznych powiedział wszystkim zebranym, że uwieczniono na kliszy moment, gdy wszechwładna przyjaciółka „króla prasy" składała siostrzany pocałunek na policzkach Thei Bianchi.

Słowiki zmarkotniały.

Śpiewaczka z „starego kraju" dopiero teraz wydała im się naprawdę niebezpieczna.

A walka z Marion?

Słowiki wiedziały dobrze czemu się równa ten syzyfowy wysiłek: walce z wiatrakami.

ROZDZIAŁ 30.

GWIAZDKA GWIAZDY

— Ostatecznie i w Paryżu Boże Narodzenie ma jakiś sens — pomyślała sobie Thea, patrząc na lazur kalifornijskiego nieba, wdychając pełną piersią balsamiczne wonie poranku.

Pierwszy raz dzień Wigilii miała spędzić w Hollywood i ta zmiana warunków napełniła ją czymś w rodzaju nostalgii. Tyle gwiazdek przeżywała już we Francji w większości wypadków również bez śniegu, ale w atmosferze pewnej szarzyzny jesiennej, jeśli nie zimowej. I wtedy także przypominały jej się dziecinne lata, plac Trzech Krzyży w Warszawie (wówczas jeszcze zwany placem św. Aleksandra), mieszkanie przy ul. Brackiej, dzwonki sanek... Tam jednak, w Paryżu, nostalgia nie znajdywała tak podatnego gruntu, jak tutaj. Zieloność i słońce wydawały się jakimś histerycznym kaprysem losu czy natury. Stojąc na tarasie swojej willi w Beverly Hills przy ulicy Beverly Drive, w tak zwanym „quartier gwiazd", Thea przeżywała — nie po raz pierwszy już od początku swojej amerykańskiej kariery — jakieś dziecięce zdumienie. Wszystko wydawało jej się dziwne, a już najbardziej to, że życie jej całe, tak dotąd równe, wikłać się zaczyna i komplikować w sposób jakby powieściowy, najmniej właśnie podobny do dotychczasowego życia opanowanej i rozsądnej, taktownej, równej i niezdolnej do wstrząsów Thei Bianchi.

D. c. n.

TEATR

TEATR LETNI

„Pod zarządem przymusowym"

Dyr. Trzciński, znawca i smakosz teatru, próbował kolejno różnych typów widowisk rozrywkowych w teatrze Letnim. w ciągu trzech miesięcy początkowych sezonu.

Niestety, ani „Miłość przy świecach", subtelna komedja muzyczna, ani „Przyjaciele", pogodna i wdzięcznie naiwna komedja Fredry, ani, dość nieoczekiwana w treści, komedia Grzymały-Siedleckiego „Ormianin z Beyrutu" — nie zyskały powodzenia.

Dyr. Trzciński wobec tego sięgnął do 100-procentowej farsy przedwojennej Arnolda i Bacha „Pod zarządem przymusowym".

Farsa ta zbudowana jest z geometryczną symetrją perypetji, nieporozumień i qui pro quo.

Śmiać się na tym widowisku można dowoli, a choć jest to gatunek śmiechu dość niewyszukany i prymitywny — trafi on do najszerszych warstw widzów, a dla nich przecież ten typ teatru jest przede wszystkim prowadzony.

Więc też nie rozdzierajmy szat i nie kalajmy ust fałszywym patosem oburzenia: ta rozrywkowa krotochwila — ma jedyny cel i zadanie: rozbawić publiczność, a że spełnia to trafnie i skutecznie — z punktu widzenia teatru jest pożyteczna.

Publiczność warszawska chętnie oglądać będzie swego ulubieńca Znicza w komicznej roli prowincjonalnego, śmiesznego buchaltera. Ile w tej robocie aktorskiej smaku, umiaru i cieniutkiego wdzięku! Z satysfakcją patrzy się na tę kreację, tak subtelnie i dowcipnie rysowaną.

Wiele humoru i zacięcia iście kabaretowego, jako gwiazda rewiowa, ma piękna Niemirzanka, zjawisko wdzięczne jako uroda, wymagające jeszcze nieco reżyserskiej tresury. Żabczyński, Bukojemska, Chmurkowski, Martini, Masłowska, Frenkiel, Jaroń, Zejdowski, Kurczewski— wszyscy mają sporo humoru, który p. Niewiarowicz, jako reżyser, wydobył zręcznie i nienatarczywie.

Słowem, wieczór śmiechu u progu karnawałowego okresu udał się dobrze p. Trzcińskiemu.

Niechaj się nie da p. Trzciński sprowokować i steroryzować przysięgłym warszawskim nudziarzom i obłudnym świętoszkom naszej krytyki stołecznej.

J. Z.

TEATR KAMERALNY

„Krystian"

Przyjemnie jest zobaczyć sztukę młodego autora (J. Noe) napisaną z talentem, a zarazem — przy dużej świeżości — z wyraźnym znawstwem sceny i jej wymagań. Ciekawa psychologia, kunsztowna struktura, inteligentny dowcip i niebanalny konflikt świadczą, jak najpochlebniej o możliwościach twórczych komediopisarza, uznanego już przez Paryż w zaraniu kariery autorskiej.

W Warszawie dużo zawdzięcza Noe wykonawcy tytułowej postaci — Karolowi Adwentowiczowi, który znakomicie przeprowadził skomplikowaną rolę, tworząc jedną z najcelniejszych swoich kreacji.

Obok Adwentowicza święciła triumf Aldona Jasińska. Zbyt rzadko widziana na scenie, a wysoce utalentowana i kulturalna artystka, w każdym calu wcieliła się w odtwarzaną postać, daleka od banalności, pełnokrwista, dosadna, a umiarkowana w doborze barw charakterystycznych.

Parę chwil zagranych b. szczerze miała p. Bonacka w roli, może jeszcze zbyt trudnej dla tej młodej aktorki. Na czoło epizodów wysunął się obiecujący aktor Dudarew.

J. K.



MIGAWKI TANECZNE

Jeszcze o balecie reprezentacyjnym.

Program „Polskiego baletu reprezentacyjnego" na występach paryskich, po za znaną już i opisaną „Baśnią krakowską", zawierał ponadto jeszcze dwa nowe balety.

Jeden z nich — to „Apollo i dziewczyna" do muzyki Ludomira Różyckiego oraz wielce oryginalnych dekoracyj Wacława Daszewskiego. Libretto Światopełka-Karpińskiego jest o tyle interesujące, że daje, przeprowadzoną na przestrzeni wielu epok historycznych, myśl przewodnią — dla chwały radości życia da się połączyć poetycki idealizm z bardziej przyziemnym korzystaniem z rozkoszy doczesnych.

Pierwszy obraz pokazuje starożytną Grecję. Na polance zebrały się muzy. Pięknie tańczą kolejno: muzy „naukowe" (Urania — Grottówna, Klio — Kłosówna i Kalliope — Nowakówna), w swoim żywiole jest tu muza tańca Terpsychora (Glinkówna). wizyjnie snuje się po scenie muza poezji Erato (Kamińska), harmonijnie przewijają się w zgodnym duecie muza śpiewu Polyhymnia (Stanisławska) z muzą muzyki Euterpe (Topolnicka), a na zakończenie: muza dramatu i komedji Melpomena (Pokrzywińska) oraz słynna „podkasana" Thalia (Biernacka).

A oto zjawia się ich pan — Apollo (Karnakowski). Muzy gromadzą się dookoła niego w barwnym korowodzie. Już miał się rozpocząć codzienny objazd na rydwanie słonecznym, gdy oto Apollo dostrzega na ziemi piękną bachantkę, która przykuwa jego uwagę. Ucieleśnia ją Sławska, z której promieniuje słoneczność, zarówno z zjawiskowej powierzchowności, jak i z tańca. Apollo zstąpił na ziemię i zaczęła się bachanalia. Bierze w niej udział cały zespół. Duet Apolla i dziewczyny, pięknie ułożony, wykonany był znakomicie przez Sławską i Karnakowskiego... Mignęły jeszcze w drobnych solówkach zwinna i zwrotna Pokrzywińska oraz precyzyjna i rutynowana Topolnicka. Koniec.

Drugi obraz. Średniowiecze. Klasztor. W nim dwa piękne żywe witraże, pomysłowo skomponowane. Jeden stanowią: Sochacka, Hermanowska, Cesarska i Rutkowska, a drugi — Mączakówna, Puchówna, Grochowska i I. Niżyńska (córka). Podziwia witraż jego twórca-mnich (Cywiński). W pewnym momencie wzrok jego pada na trzy rozmodlone mniszki (Grottówna, Marynowska, Pokrzywińska). Jedna z nich (Grottówna)— to znów reinkarnacja owej bachantki, jak mnich-artysta jest reinkarnacją Apolla. Mnich jest... uwiedziony i już nie zazna spokoju w cichej pracy artysty...

Jesteśmy w epoce renesansu. Menuet na dworze królewskim. Apollo jest tu królem (Cywiński). W menuecie wyróżnia się czołowy kwartet (Glinkówna z Kopińskim i Biernacka z Marciniakiem), a następnie wysuwający się na czoło i ślicznie prezentujący się aparycyjnie i tanecznie duet (Stanisławska i Koziarski). W tym z posągu zstępuje Amor (Miszczyk) i wkracza w szeregi tańczących, pląsem miłosnym. Demonstruje ładne „entrechats", którymi również ozdobiony jest menuet, poczym wprowadza pasterke (Kamińska), aby zatańczyć z nią powabny duet. Następny również nie mniej ładny duet Kamińskiej i Cywińskiego oraz ich tercet z Miszczykiem kończą, na tle ogólnego tańca, ponowne połączenie królewskości z prostotą.

Rok 1840. Kulisy opery wiedeńskiej. Poeta (Karnakowski) składa hołd swą twórczością primaballerinie (Juszkiewiczówna). Ona wszakże wskazuje widmowe pary walcowe (Kiliński — Rutkowska, Braziewicz — Marynowska i Puchówna — Baranowski), z którymi oboje splatają się następnie w walcu, godząc tym razem poezję z radością życia.

W ostatnim obrazie Apollo (Cywiński) jest mistrzem olimpijskim, a „dziewczyna" (Sławska) — nowoczesną sportsmenką. Ich duet, fascynująco ułożony, składający się z malowniczych póz, czyni zaszczyt talentowi twórczemu baletmistrzyni oraz odtwórczemu — pary świetnych wykonawców, tańczących go znakomicie. Barwnym urozmaiceniem jest tercet „tancerzy kabaretowych" (Stanisławska, Glinkówna i Marciniak), w którym tancerki dają znakomity pokaz jazzowych motywów tanecznych, wykonanych z wielką brawurą i podniecającą pikanterią. Zachwycający ten balet kończy ogólny taneczny hymn ku chwale radości życia.

Drugi balet — „Wezwanie", jest osnuty na tle „Concertino" Bolesława Woytowicza i góruje nad wszystkimi innymi wspaniałościa kostiumów pomysłu Ireny Lorentowicz-Karwowskiej. W balecie tym rewelacją okazał się znakomity młodziutki tancerz klasyczny Władysław Dokudowski, kapitalny wynalazek „Polskiego baletu reprezentacyjnego". Naczelną rolę kobiecą wykonała z wdziękiem Nina Juszkiewiczówna, a Glinkówna z Kilińskim dali przepyszny duet chłopski.

W pierwszym obrazie — salon wiedeński. Kilka ślicznie zatańczonych pląsów pokazały Stanisławska i Biernacka, ładny epizod miała również Kamińska. Wszystkie wyglądały olśniewająco w iście baśniowo czarujących kostjumach, a tańczyły równie dobrze, jak wyglądały.

W drugim obrazie podobali się bardzo: Kopiński, Sadowski i Marciniak. Tu i tam bardzo estetycznie prezentowali się: Śnieżyński i Koziarski. W gronie wytwornych dam wiedeńskich, a potym hożych szlachcianeczek polskich, wyróżniały się korzystnie: Grottówna, Pokrzywińska i Topolnicka.

Idea baletu interesująca. Dwoje młodych z elity towarzyskiej poznało się i pokochało. Ich flirt w ramach etykietalnych przeciąga się. Lecz oto widzą podczas wieczornej przechadzki znacznie... konkretniejsze amory wiejskie. To ich przekonało. Ale i wiejska parka widziała zaloty tamtych „par distance" i właśnie w tym widzi coś wznioślejszego, więc z kolei tamtą parę naśladuje. To daje temat do zabawnych sytuacyj, kończących się wspólnym ochoczym pląsem.

P. Niżyńskiej należy się uznanie za stworzenie polskiego baletu na takiej wysokości.

Henryk Liński

BRIDŻ DLA NIEWTAJEMNICZONYCH

(ciąg dalszy)

Postacią bez której żaden szanujący się bridż nie może się obejść, postacią bridżową honoris causa jest kibic. Dokładnej genezy tego słowa podać nie mogę, ale faktem jest, że cały szereg uczonych po to tylko grzebie w wykopaliskach różnych narodów, aby odkryć, który z nich pierwszy obdarzył świat kibicem.

Kibic nie gra w bridża, ale wie o tej grze prawie tyle co sam Culbertson. Zadaniem kibica jest uprzyjemnienie graczom czasu w sposób inteligentny, miły i dowcipny. Jeżeli gracz leży bez trzech, kibic potrafi mu zawsze udowodnić, że mógł mieć conajmniej dwie nadróbki; jeśli natomiast wynikiem rozgrywki są dwie nadróbki — okazuje się, że szlem był murowany. Rzecz prosta, że tego rodzaju komentarze wpływają niezwykle dodatnio na emocjonalność przebiegu gry. Nic też dziwnego, że gracze toczą zacięty bój o kibica — każdy chce go bowiem widzieć przy drugim. Kibic ma jednak prawo sam decydować, kto dostąpi zaszczytu jego towarzystwa.

Dokładne przestudiowanie wszystkiego, co powyżej powiedziałem wystarczy, aby z „greenhorna" uczynić „wtajemniczonego" — czyli człowieka, który już może skorzystać z zaproszenia na bridża.

Jeszcze tylko kilka słów o tym. A więc: jeżeli jesteś proszony jako czwarty — nigdy nie obiecuj, że napewno przyjdziesz, a przychodź zawsze, z conajmniej, godzinnem opóźnieniem, w ten sposób bowiem stwarzasz pozostałym osobom emocję oczekiwania, dajesz im okazję do zakładania się na temat, czy wogóle przyjdziesz no i podbijasz wartość własnej osoby. Nie zaszkodzi nigdy wspomnieć o tym, że znajomi chcieli cię gwałtem zatrzymać na kolacji, ale poprostu siłą im się wyrwałeś. Tylko gruboskórni ludzie nie poznają się na tej subtelnej aluzji i nie poczęstują cię kolacją, z takimi jednak nie masz potrzeby się liczyć i powinieneś, zanim jeszcze powiesisz parasol na wieszaku i zdejmiesz kalosze w przedpokoju, powiedzieć, co zwykłeś jadać na kolację. Oczywiście—im bardziej wytworne menu, tym większy szacunek dla ciebie. Nie bierz też nigdy z sobą papierosów, ile byś ich bowiem nie miał, zawsze ty nie będziesz miał co palić — więc po co? Jeżeli już palisz — nie musisz szukać popielniczki, robi to bowiem wrażenie, jakbyś się nie przejmował grą, która dla partnerów twych jest często treścią życia; żeby tedy wydawać się bardziej skupionym — gaś papierosty poprostu o meble, udając, że czynisz to automatycznie. Jeżeli dbasz o twoją cerę — nie gol się przed pójściem na bridża, gdyż i tak ci przed końcem gry broda odrośnie — więc po co się golić?! Szczytem lekkomyślności jest wręcz noszenie czystego kołnierzyka, skoro temperatura bridżowa jest zazwyczaj tak wysoka, że już po pierwszym robrze, to co miało być ozdobą twojej szyii — jest miękką ściereczką. Spodnie twego najstarszego garnituru są oczywiście zaprasowane na okrągło — jesteśmy bowiem niewolnikami tego co posiadamy i nawet ledwie widoczny kant na spodniach pozbawia cię możności przybierania tak wygodnych póz, jak naprzykład: siedzenie po turecku. Jeżeli do pokoju wchodzi kobieta i mówi do Ciebie — nie masz obowiązku wstawać od stolika, aby się z nią przywitać, dama może sobie stać; ty siedź; niech cię



nawet nie żenuje, jeśli w danej chwili jesteś, z powodu gorąca, bez marynarki a twój kołnierzyk suszy się przy piecu — przy bridżu nie egzystują śmieszne salonowe konwenanse, a kobiety, jeśli się znajdują w jednym lokalu z tobą traktować należy jako zło konieczne.

Nawiasem dodać warto, że mężczyzna bez kołnierzyka, z nieodstępnym papierosem w kącie ust, którego nie wyjmuje nawet podczas rozmowy; mężczyzna o gęstym zaroście i brutalnym zachowaniu się — niesłychanie imponuje kobiecie. Jeśli zatem jakakolwiek dama interesuje cię bardziej, niż ta, którą masz w kartach — powyższa recepta, kreująca cię na bohatera w stylu Londona — niewątpliwie rychło ją rzuci w twoje ramiona. O kobietach, jako partnerkach — nie wspominam wcale, gdyż felieton niniejszy nie jest przeznaczony dla samobójców.

Pamiętaj jeszcze jedno!.. Graj zawsze o tak wysokie stawki, aby nawet minimalna wygrana mogła wydatnie wpłynąć na twój budżet. Jeśli przegrasz — możesz oczywiście nie zapłacić, w ostatniej bowiem chwili okaże się, że nie masz przy sobie portfelu, który albo ci został skradziony, albo został zapomniany w domu, w pośpiechu bowiem nie wziąłeś z sobą.

Czasem możesz nawet w ten sposób uzyskać pożyczkę. Gdy w podobnej sytuacji znajdzie się ktoś inny, a ty jesteś wygrany — sprawdź dobrze, czy pierścionek, który bierzesz na zastaw, jest rzeczywiście ze szlachetnego metalu, ostatnio bowiem rozpowszechniły się imitacje.

Im później w nocy wychodzisz z bridża — tym głośniej omawiaj na schodach przebieg gry. W ten sposób sąsiedzi twoich gospodarzy, obudzeni głośną rozmową, mogą także czegoś ciekawego dowiedzieć się o bridżu i mają pewne urozmaicenie w monotonnie płynącej nocy.

Jeżeli tak się złożyło, że przegrałeś jakąś sumę i nie masz oczywiście zamiaru jej zwrócić — bądź przebiegły i u wspólnych znajomych wspomnij mimochodem, że z pewnych względów, o których dżentelmenerja nie pozwala ci mówić — nie będziesz więcej grywał u państwa X. W ten sposób uprzedzasz złe zdanie, jakieby twój nieuczciwy karciany wierzyciel chciał o tobie wyrazić.

Na zakończenie jeszcze jedna rada: jeśli traktować chcesz grę w bridża jako jedyne źródło swego utrzymania — wstąp do jednego z już istniejących albo załóż sobie własne pogotowie brydżowe. W tym drugim wypadku postaraj się, aby numer twego telefonu przypominał popularne pięć piątek, czy pięć jedynek — w ten sposób będziesz miał oprócz wezwań normalnych cały szereg omyłkowych i może ci się zdarzyć, że gdy trafisz do domu, w którym oczekują potomka, rozegrasz partję, o której marzy każdy brydżysta — partję, za którą otrzymasz napewno nagrodę Nobla, partię w której kibicem będzie Niemowlę.

I. Glaudan

„Huragan" na Polskich ekranach



To było do przewidzenia!

Film produkcji Sama Goldwyna p. t. „Huragan", ukazał się już na ekranach amerykańskich, wywołując niespotykany dotąd entuzjazm prasy i publiczności.

Nie będziemy tu przytaczać wszystkich głosów prasy (a były tylko dodatnie), gdyż właściciele kin sceptycznie zapatrują się na tego rodzaju reklamowanie filmu. Tych natomiast, którzy wierzą głosom najpoważniejszych krytyków amerykańskich, odsyłamy do listopadowych numerów „Motion Picture Herald" i „Variety".

„Huragan" wg. powieści Charlesa Nordhoffa i Halla (autorów „Bounty"), treścią nieco przypomina „Poganina". Akcja jego rozgrywa się na pełnych czaru wyspach Mórz Południowych i obfituje w szereg mocnych scen, pozostawiających niezatarte wrażenie. Do takich należy przede wszystkim scena huraganu (która kosztowała podobno 200.000 dolarów), zaaranżowana przez mistrza Jamesa Baslevi, tego samego, który odtworzył trzęsienie ziemi w filmie „San Francisco". W rolach głównych występują: piękna Dorotha Lamour, w roli nowego Tarzana—John Hall, Mary Astor, C. Aubrey Smith, Raymond Massey, oraz egzotyczne piękności — Reri (znana z filmów „Tabu" i „Czarna perła" prod. polskiej), Movita Castaneda i Mamo Clark („Bounty"). Obrazy te reżyserował John Ford.

W Polsce film ten ukaże się prawdopodobnie już w styczniu 1938 r.

Ekspl.: National Film Corp.

Kościuszko pod Racławicami wchodzi na ekrany

Długi okres pracy nad realizacją monumentalnego filmu p. t. „Kościuszko pod Racławicami" został uwieńczony pięknym wynikiem. Efektem niezmiernego wysiłku realizatorów i odtwórców jest film na olbrzymią, niespotykaną dotąd u nas skalę. Film, który w dotychczasowym naszym dorobku kinematograficznym, zajmie na pewno pozycję przodującą.

Ambicją twórców filmu „Kościuszko pod Racławicami" było zrealizować dzieło, które spełniłoby dwa zadania; dało emocjonującą rozrywkę i kształciło jednocześnie. Dziś, gdy „Kościuszko pod Racławicami" wchodzi już na ekrany, można stwierdzić, że zamierzony cel został osiągnięty, że ambicje realizatorów spełniły się.

Reżyserował „Kościuszkę pod Racławicami" Józef Lejtes, mający opinię zdolnego reżysera.

Role główne odtworzyli najlepsi polscy artyści: Elżbieta Barszczewska, Bogusław Samborski, Józef Węgrzyn, Jan Kurnakowicz, Franciszek Dominiak, Witold Zacharewicz, Jerzy Pichelski, Wanda Jarszewska, Zofia Dobrzańska i inni.

Funkcje doradcy historycznego sprawował podczas zdjęć prof. Adam Stebelski, zaś doradcy wojskowego — rtm. Gepner.

„Kościuszkę pod Racławicami" wyprodukowała wytwórnia „Libkow-film".

★

W prasie codziennej ukazały się w ubiegłym tygodniu sensacyjne wzmianki o pożarze w atelier „Falanga". W istocie pożar nie wywołał wcale poważnych szkód — spaliła się jedynie część kopii filmu „Kościuszki". Negatyw, który znajdował się w zupełnie innym pomieszczeniu, nie został uszkodzony.



„Karnawał i moda"

Zbliża się karnawał. Pani już zastanawia się nad tualetami, ogląda materiały, naradza się z krawcową. Co będzie modne w tym roku?...

Tegoroczna moda karnawałowa to nawrót do „kobiecości". Powiewne tiule i chiffony, miękkie linie, subtelne koronki. Oto naprzykład model tualety z czarnego tiulu na spodzie z tafty. Suknia całkowicie zamknięta, spód zaś mocno dekoltowany. Przód sukni ozdobiony zakładkami, dokoła szyi szeroki kołnierz ze srebrnej lamy. Marszczone rękawy, lekko przesłaniają ramiona — bo tiul jest przecież prawie zupełnie przezroczysty. Mocno zmarszczona spódnica — pięknie rozwieje się podczas walca. Dla szczupłej i wysokiej pani o wytwornej sylwetce bardzo będzie odpowiednia suknia zupełnie prosta w linii — cała naszyta czarnymi cekinami. O tym, że czarna suknia jest najlepszą „oprawą" dla kobiety wiedzą wszystkie panie. Gdy materiał sam przez się jest efektowny, zbyteczne są wszelkie inne dodatki, tak, że np. suknie ze srebrnej lamy są możliwie najprostsze w kroju.

Suknia jednak, choć jest najważniejszą częścią balowego stroju — nie jest jedyną. Pani musi pomyśleć o uczesaniu, torebce, pantoflach, okryciu...

Małe mufeczki z kwiatów lub materiału wyszły z mody. Obecnie nosi się torebki — nalepiej z tego materiału, co suknia — z ozdobnym zamkiem. Do wielkich wieczorowych tualet nosimy nadal wycięte sandałki, tak bardzo lubiane — bo noga się w nich nie męczy.

A okrycie... marzeniem każdej z pań jest naturalnie peleryna z lisów srebrnych lub białych (wyglądają wspaniale, szczególnie na czarnej, błyszczącej sukni). Modne są nadal gronostaje — ale w kilku kolorach. Nie tylko białe, lecz bronzowe i czarne. Najładniejsze jednak są białe. Sortie z futra nie jest niezbędne — odzowne. Piękne są peleryny z velour-chiffon — naprzykład purpurowa peleryna na sukni z lamy ozdobnionej czerwonym kwiatem. Do stylowej sukni nadaje się długi do ziemi, obcisły w talii płaszcz o szerokich rękawach. Ładne są też luźne płaszcze z aksamitu.

Pani w wieczorowej sukni ma możność wykazania całego swego uroku — zastanawiajmy się więc póki czas — aby pięknie wyglądać na wielkiej, balowej sali.

REDAKTOR przyjmuje interesantów codz. 17 — 19. Administracja czynna codziennie 10—14

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Warszawa, Al. Jerozolimskie 43 (parter) tel. 11 93 07

CENY OGŁOSZEŃ: 1 milim. szerokości jednej szpalty (układ 5-cio szpaltowy) w tekście 40 gr., pierwsza i ostatnia str. 50 gr. Ogłoszenia drobne 15 gr. za wyraz. dwukolor. 50% drożej

Prenumerata: rocznie zł. 7.20, 1/2 rocznie 3.60, kwart. 1.80
Prenumeratę przyjmują wszystkie oddziały P.K.O. Konto czekowe Nr. 11.840 i oddziały pocztowe Konto rozrachunkowe, Warszawa I. Nr 226.

Redaktor naczelny WIESŁAW BOŃCZA-TOMASZEWSKI Wydawcy JOZEF KISELHOF i ZENON BERMAN Kierownik wydawnictwa: EMMI GOLDFLUS
Druk. Wydawnicza, Warszawa, Kacza 15, tel. 603-46.